

Średnia płaca w tzw. sektorze przedsiębiorstw wyniosła w sierpniu br. 3686,45 zł – podał GUS. Z jednej strony to niemało, blisko 900 euro na miesiąc, z drugiej warto podkreślić, że płaca nie tylko spadła wobec lipca, ale także nie dogoniła rocznej inflacji. Rok temu zarabialiśmy średnio 2,7 proc. mniej, a inflacja przez ten czas zjadła 3,8 proc. wartości naszych dochodów. Jeżeli weźmiemy jeszcze pod uwagę, że od lat szybciej rosną wynagrodzenia ponadprzeciętne, to okaże się, że większość zarabia ledwie tyle, żeby związać koniec z końcem.

Tymczasem nasi politycy i usłużni im dziennikarze ostrzeżenia kryzysowe przeplatają co i rusz podkreślaniami, że jesteśmy liderami europejskiego wzrostu. Aż korci, żeby się zapytać po raz kolejny: wzrostu czego? Mitycznego PKB? Tak, owszem. Szkoda jedynie, że ów wzrost nie przekłada się ani na wzrost płac realnych, ani na większą ilość miejsc pracy, ani na szczególnie dużą liczbę inwestycji, ani wreszcie na polepszenie sytuacji tzw. służb publicznych. Kto więc na owym wzroście korzysta? Rekordowe zyski w roku ubiegłym firm, przekraczające 100 mld zł, pozwalają przypuszczać, że – jak zwykle w Polsce – „konsumentami” wzrostu jest bardzo niewiele...

Oczywiście należy się radować, że PKB rośnie. Dlatego „Solidarność” od lat postulowała, żeby wzrost PKB powiązać ze wzrostem płac. Ostatnio złożony projekt ustawy o płacy minimalnej również wiązał jej wzrost ze wzrostem PKB. A przecież w połowie 2009 roku premier Tusk uroczyście i publicznie oświadczał, że elementem paktu antykryzysowego jest przedstawienie przez niego do końca 2009 roku „ścieżki dojścia” płacy minimalnej do poziomu 50 proc. przeciętnego wynagrodzenia. I co? I nic. Obietnice jedno, życie drugie. Doprawdy, czas się obudzić, bo za chwilę jedyne co nam pozostanie, to kolejna peerelowska anegdota powtarzana wówczas w reakcji na tzw. propagandę sukcesu – „O czym mówi nam statystyka? O tym, że ja i pies mamy statystycznie po trzy nogi...”

**Jacek Rybicki**